

życie w zaklętym lesie



NIE WSTYDŹ SIĘ

JOANNA TOKARSKA-BAKIR
ILUSTRACJA WILHELM SASNAL

Czy miałeś w rodzinie kogoś, kto w trakcie wojny służył w Wehrmachcie albo wzbogacił się na Żydach? Kto po wojnie pracował w UB czy w milicji albo po prostu zapisał się do partii? Żydożerczą ciotkę, wujka homofoba?

Wśród teczek, które rządzą polską polityką, mieszkam od lat. Do najgłupszych rzeczy, które nam się po 1989 roku przydarzyły, należało sprowadzanie epickiej zawartości archiwum IPN do toksycznych kwitów. Ci, którzy dyskredytowali te kwity, podkreślając sposób ich wytworzenia, tak samo jak ci, którzy z nich ochoczo korzystali, traktowali nas jak dzieci, którym można wmówić, co się chce. Niby to wiemy, ale jednak warto na początku to przypomnieć: akta to nie zbiór faktów ani kłamstw, ale narzędzie do ich poszukiwania. Gdy „stajemy się narzędziami naszych narzędzi”, jak to określił Henry David Thoreau, za ich pomocą niszczymy siebie samych.

Nie chciałam zostać zniszczona, więc przystępując do kwerendy w IPN, za radą Thoreau potraktowałam to archiwum jak coś w rodzaju lasu. Amerykanin Thoreau, abolicjonista, który w czasach zalegalizowanego niewolnictwa zaszył się w lasach środkowego Massachusetts nad stawem Walden, po dwóch latach wrócił do świata i w „kolei podziemnej”, jak nazywano pomocowy szlak ucieczki niewolników z Południa na Północ, działał na ich rzecz. Oprócz książki „Walden, czyli życie w lesie” (1854) zostawił po sobie słynny esej



HISTORIA
Kocia muzyka.
Historia chóralna
pogromu
krakowskiego

JOANNA TOKARSKA-BAKIR
Czarna Owca, Warszawa
PREMIERA: czerwiec 2024

„Nieposłuszeństwo obywatelskie” (1849), do którego jeszcze powrócę.

W moim lesie wytrzymałam dłużej niż Thoreau. Przetrwałam w nim dwa zwycięstwa PiS, prezydenturę Donalda Trumpa i pandemię COVID-19. Pod sąsiadującym z IPN Sądem Najwyższym systematycznie odbywały się demonstracje, na parterze obradowała Izba Nadzwyczajna, ale u nas w czytelnicy panował spokój, jak zawsze w oku cyklonu. To tu napisałam książkę o pogromie kieleckim „Pod kłątą” (2018) oraz „Kocią muzykę” o pogromie krakowskim (ukaze się w 2024 r.). IPN połknął mnie jak wieloryb Jonasza.

W świecie późnego życia to na pewno nie kościoły i już raczej nie muzea, ale właśnie archiwa są ostatnimi miejscami dozwolonej kontemplacji. Zachowania kompulsywne uspokajają, a zmienia-

jący się wraz z porami roku ogród Krasińskich, przez który trzeba przejść w drodze do Czytelni Akt Jawnych IPN, działa na mnie jak kosmiczna śluza.

Zaletą systematycznych wizyt w archiwum są poprawne stosunki z pracownikami – nawet przy największej różnicy zdań trudno zachować wrogość do kogoś, kto tak ciężko pracuje. Przychodząc dzień w dzień przez wiele miesięcy, stopniowo wydeptujesz własne ścieżki. Uczysz się języka katalogów skonstruowanych tak, by nie można było niczego znaleźć, i w końcu potrafisz katalog przechrzyć. Trafiasz na ukryte furtki i przejścia, drogi na skróty, przecinki i przelaje. Choć instytucja składa się wyłącznie z zasieków, zaczyna cię tolerować, a nawet stopniowo przyzwyczajają się do ciebie.

W lesie na początku musisz się zagubić, a najlepiej go poznasz, błędząc. Jak w każdej inicjacji – to nie ty zadajesz pytania. W temacie rozmowy, jaką prowadziły ze mną źródła, pisząc obie książki, zaczynałam się orientować po jakichś dwóch, trzech latach. Kto ma dziś czas, żeby tyle czekać? Mijały dni, często długie i jałowe, ale czasem gorączkowe, za krótkie. Nagle po okresie posuchy archiwum otwierało się jak Sezam. Czytasz coś w kółko, wtem jakieś nazwisko zaczyna świecić i wtedy wszystko się układa. Stopniowo

zmienia się też twoje otoczenie. Badacze pracujący w Excelu znikają szybko, pozostają ekscentrycy i eskapiści.

Gdy w archiwum wypowiadasz życzenie, by opowiedziało ci zupełnie na nowo historię – na przykład pogromu w Polsce zaledwie kilka miesięcy po II wojnie – czujesz głównie niepewność. Rozpoczynasz właściwie od zera i nie wiesz, od czego zacząć. Masz dokładnie takie same wątpliwości, jakie w czwartym wieku przed naszą erą męczyły Platona: „W jaki sposób będziesz szukał, Sokratesie, tego, o czym w ogóle nie wiesz, co to jest? Bo którą z tych rzeczy, o których nic nie wiesz, weźmiesz przed siebie i zaczniesz szukać? Przecież gdybyś nawet w sam raz na nią natrafił, to jak będziesz wiedział, że to jest właśnie to, czegoś nie znalazł?” („Menon”, przeł. Władysław Witwicki).

Reklamówka Urszuli

W „The Carrier Bag Theory of Fiction” (Teoria fikcji w reklamówce) Ursula K. Le Guin sugeruje, że u źródeł ewolucji człowieka, a także naszych opowieści tkwi bynajmniej nie pięściak ani maczuga do rozbijania czaszek, którą pamiętamy z „Odysei kosmicznej” Kubricka, ale naczynie, w którym można zgromadzić żywność na zapas – nie tylko magazyn albo spiżarnia, ale też liść, tykwa, muszla, torba, worek, misa, dzban, a nawet zwykła plastikowa siatka. W archiwum szukałam pożywienia na czarną godzinę, a to, co może się przydać, zabierałam wieczorem do domu w sporym, ale wygodnym plecaku.

Pierwsza i najważniejsza rzecz, o którą potykamy się w archiwum, to język. Ludzie, o których czytamy w dokumentach, mówią wymarłymi językami. Weźmy opis konia, na którym w grudniu roku 1945 do wsi Dzianisz na Podhalu przyjechali ówczesni rozbójnicy: „Koń wzrostu średniego, wesół, głowa do góry, cały czarny, ogon bardzo krótko ucięty, uzda i uprząż wyglądu zakopiańskiego, przy uździe blaszki błyszczące z złotego metalu. Na włóczkach były deski jakby nowe z wojniczkami”. Jeśli dobrze poszperamy w Google’u, dowiemy się, że „włóczki” to sanki. Ale nawet Google nie podpowie ci dziś, co to są wojniczki (może chodziło o dzwoneczki?) ani w jakim sensie koń jest „wesół”.

Co ukradli tamci rozbójnicy? „Chustki tybetowe” (z wełny owiec tybetańskich), „odzieżacki barankowe” (trójkątne grube chusty, tzw. barankule, element kobiecego stroju na Podhalu) i tro-

chę bielizny, w tym dwie pary prozaicznych kalesonów. Przesłuchiwany przez milicję niepiśmienny góral wypełnia skargę na złodziei litanią zapomnianych słów.

Główną metodą, którą posługuje się na co dzień historyk, jest zagadka. Zagadka zostaje rozwiązana, gdy małe fragmenty w połączeniu z innym pasującym do niego fragmentem tworzy nagle całość. Klik-klak i jedna z prawdopodobnie nieskończonej ilości tajemnic archiwum znika. Kiedy historyk zbyt dobrze wie, co chce znaleźć w archiwum, traci z oczu zagadkę, wskutek czego przepada i całość. Nie tylko nie znajdzie fabuły z prawdziwego zdarzenia, ale nawet małej, pojedynczej.

Pisarze realistyczni – w każdym razie ci najwięksi – wiedzą, że prawdy nie da się podrobić, dlatego nigdy nie piszą o miejscach nieznanach. Każdą książkę zaczynają od solidnych studiów w terenie, czyli w bibliotece. Cormac McCarthy twierdzi, że nie wymyśla fabuły, tylko się jej poddaje („Mam zaufanie do miejsca, z którego do mnie przychodzi”). Archiwum IPN to z pewnością miejsce, z którego może przyjść fabuła, ba, bardzo wiele nieznanach nam jeszcze, fascynujących fabuł. Jeśli nie wszystkie, które rozegrały się w historii najnowszej Polski, to przypuszczalnie ich większość.

Każda fabuła z prawdziwego zdarzenia składa się z wielu wątków, fabuł pomniejszych. Gdyby pięć lat temu ktoś mi powiedział, że w smudze pogromu krakowskiego tkwi jakaś historia miłośna, wzruszyłabym ramionami. Pogrom nie był przecież romanssem. Ale ta historia, w której Tristanem i Izoldą są pracownicy UB – żydowski Polak, blondyn piękny jak amant z hollywoodzkich filmów, i żydowska Polka, nie tylko piękna, ale też mądra i wykształcona – naprawdę tam była i chciała zostać opowiedziana. Jak inaczej wyjaśnić fakt, że krok po kroku odsłaniała mi się w źródłach i przesładowała zbiegami okoliczności tak dziwnymi, że musiałam sprawdzać po kilka razy, czy wszystko się zgadza.

Doprowadziła mnie nawet do spotkania z potomkami obojga kochanków, nic o sobie nawzajem do tej pory niewiedzącymi. W czasie jednego z takich spotkań w ogrodzie w Łomiankach usłyszałam, że zaraz, zaraz, przecież jest gdzieś jeszcze jakaś skrzynka z papierami. Skrzynka została przyniesiona. W środku były fotografie bez podpisu, na których rozpoznałam moich bohaterów, oraz papier poplamiony krwią, który w chwili śmierci jedno z nich miało w kieszeni. Hanna Krall określa takie sytuacje mianem „dowodów na istnienie”.

Pożyczone, nieoddane

Epoka masowego gromadzenia danych nie zaczęła się wczoraj i bynajmniej nie rozpoczęła jej komuniści. Pisząc o Francji drugiego cesarstwa, Walter Benjamin wspomina, że gdy nowy prefekt zostawał szefem policji, przynoszono mu jego dossier, czyli teczkę ze wszystkim, co na niego zebrano. Pozostałe tečky trzymano w archiwach, do których nikt nie miał dostępu. Tak zawsze działały państwa policyjne.

Reżimy komunistyczne czyniły wszystko, co mogły, by zahamować przepływ informacji, i na wyżywny wzniosły sztukę ich ukrywania, ale i one nie zdołały ukryć, że ukrywają. IPN został powołany dekadę po upadku komunizmu do tego, by przebadać zasoby wyprodukowane przez polskie służby od roku 1944, a także materiały przekazane przez służby zaprzyjaźnione (np. wschodniemieckie i radzieckie) oraz to, co polskie archiwa odziedziczyły po policji i wywiadzie przedwojennym. W czasach PRL wszystkie materiały, które trafiły do IPN, były objęte klauzulą tajności.

Fakt, dokumenty w IPN są przetrzebione. Wiadać to w wielokrotnie zmienianej paginacji, zaczynającej się od wysokich numerów lub urywającej w kluczowym miejscu. Niekiedy właśnie w tym miejscu tečky znajduje się tylko notatka, kto akta wypożyczył. Pożyczone, nieoddane – tak zapewne powstały legendarne szafy Bieruta, Gomułki, Kliszki i Kiszczaka, o których wciąż opowiada się historie.

Ale nie wszystko się rozproszyło. Dublety trafiały do archiwów lokalnych lub wojskowych. W sprawach żydowskich czasem wywiało je aż do Niemiec, Ameryki lub Izraela. Niekiedy rzeczy nie można ot tak po prostu ukryć. „Po zatajonej egzekucji zawsze zostaje jakiś zapomniany pocisk”, twierdził Günter Grass (który sam dla siebie stał się takim pociskiem).

Czasem, jak w przypadku protokołu przesłuchania z czerwca roku 1945 z Brzeszcz pod Oświęcimiem, odnaleziony przeze mnie pocisk przypomina monolog teatralny:

Na pytanie, co robił o godzinie dziewiętnastej trzydzięści, odpowiada, że szedł po złoto.

Zapytany, w jakim celu szedł po złoto, odpowiada, że ma za mały zarobek i nie może żyć z tego.

Na pytanie, jaką ma rodzinę, odpowiada, że ma żonę i troje dzieci.

Na pytanie, ile razy chodził po złoto, odpowiada, że raz był, może temu trzy miesiące, a ostatnio był dwa razy.

Na pytanie, komu sprzedał to złoto, odpowiada, że mając współnika Nosala Czesława, oddawał jemu, a Nosal puszczał w obieg zdobyte złoto.

Zapytany, w jaki sposób wydobywał w nocy to złoto, odpowiada, że przy pomocy lampy elektrycznej wydobywają to złoto.

Na zapytanie, czy przypadkiem kości nie wydobywają, odpowiada, że przy wydobywaniu mułu znajdują także kości.

Nigdy wcześniej nie sądziłam, że przeszłość można zobaczyć z tak bliska. Przez chwilę czułam się tak, jakbym obserwowała przesłuchanie, siedząc sobie wygodnie za lustrem weneckim.

Co można kontemplować w IPN

Dysponując donosami i podsłuchami z IPN, bywamy takimi widzami. A kiedy odtworzymy fabułę –



A BJÖRK NA TO:

Kulę się na mych prywatnych torturach,

Gnieźdźę się w bólu, przytulam cierpienie, pieszczę każdy ból.

Udaję martwą, to uśmierza ból

nawet demiurgami widzącymi wszystko z góry. To niekoniecznie jest komfortowe uczucie.

Wbrew czarnym legendom w PRL rola Wielkiego Demiurga, który nie ograniczy się do podglądania przez wenecką szybę, ale zdobytej w ten sposób wiedzy użyje, by na dużą skalę manipulować rzeczywistością, pozostawała permanentnie nieobsadzona. Wiele ubeckich kwitów nigdy nie miało zostać ujawnionych. Powód jest rozczarowująco prozaiczny. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego miało zawsze na głowie dużo pilniejsze, doraźne sprawy. Poza tym kompromaty, jak je określali przyjaciele Moskale, działają zawsze lepiej, ZANIM zostaną ujawnione. Strach jest potężnym narzędziem.

Tu właśnie dochodzę do przykładu na to, co można kontemplować w archiwum. Czytamy na przykład o pewnym dziecku, które w roku 1952 spadło z krzesła i pękła mu czaszka, a w zamian za obietnicę operacji za granicą jego ojciec podjął współpracę z UB, i zadajemy sobie pytanie, jakim właściwie prawem się o tym dowiadujemy. A tymczasem jesteśmy dopiero w połowie tej historii. Okazuje się bowiem, że ów ojciec był wcześniej gimnazjalistą w Rabce i w sierpniu 1945 roku wraz z kolegami trzykrotnie ostrzeliwał – m.in. za pomocą karabinów maszynowych i pancernika – sierocińce dla żydowskich dzieci cudem uratowanych z Holocaustu. Nie wiadomo dokładnie, czy i jak wiążą się ze sobą te dwa elementy jego życia, ale aby życie w ogóle ogarnąć, musimy je koniecznie uwzględnić oba.

Czesław Miłosz uważał, że największym wrogiem człowieka jest uogólnienie. Ja myślę, że największym wrogiem jest jednak wstyd. A wstyd to cofnięcie się przed odkryciem prawdy, którą w głębi serca się dobrze zna; przed wiedzą, co ludzie robią w określonych warunkach, poddani działaniu sił i namiętności, które niekoniecznie pojmują. Polacy nie lubią bezwstydu; wołają strugać bohaterów.

Czy to nie dlatego, że Miłosz był bezwstydnym, jego powieść „Zdobycie władzy” (1952) jest w Polsce tak niechętnie czytana? Przez Jerzego Giedroycia uznawana za schematyczną, przez Jerzego Stempowskiego za „propagandowy falsyfikat”, została doceniona dopiero przez Witolda Gombrowicza: „Bardzo silna książka. Miłosz to dla mnie przeży-



W świecie późnego życia to na pewno nie kościoły i nie muzea, ale archiwa są ostatnimi miejscami dozwolonej kontemplacji

cie. Jedyne z pisarzy na emigracji, którego naprawdę zmoczyła ta burza. Innych – nie. Byli wprawdzie na deszczu, ale z parasolami. Miłosz został zmoczony do nitki, a w końcu huragan zdarł z niego ubranie – wrócił nagi. Cieszcie się, że przyzwoitości stało się zadość! Przynajmniej jeden z was jest nagi”.

W tej powieści, jakby alternatywie własnej biografii, główny bohater Kwinto, arystokrata złamany przez NKWD, do kraju wraca w mundurze oficera politycznego Armii Berlinga. Inny bohater, Foka, „antyradziecki proletariusz” przeorany przez hekatombę powstania warszawskiego, dopuszcza się seryjnej zdrady ideałów. Tym dwóm (i wszystkim innym) Miłosz każe przyglądać się temu, co ostatecznie wybrali.

Na czym polegały nagość i bezwstyd Miłosza? Czy aby nie na tym, że nie stroił się w piórka ideału? Dopuścił do głosu ambiwalencję, konkurencję dla fałszywego bohaterskiego ja, które nawet gdy świat wali mu się na głowę, nie miewa wątpliwości, jak się zachować, a jeśli miewa, znikają po zdrowaśce.

Co w wolnym czasie porabiał Gimnazjalista

Nie wszystkie źródła zgromadzone w archiwum IPN mówią prawdę, ale i ludzkie kłamstwa oplaca się studiować. Aktualna polityka historyczna wychowuje nas na przykład w przekonaniu, że w roku 1945 i 1946 każdy aresztowany był bohaterem

podziemia, a za biurkiem w UB siedzieli sami stalinowscy oprawcy. Tak zapewne bywało, ale szlachetnych aresztowanych i ohydnych oprawców z bezpieczeństwa nie znajdziemy raczej w pogromach Żydów, których w powojennej wschodniej Europie zdarzyło się około pół setki. Aresztowany w takim pogromie najczęściej kogoś obrabował, pobił albo i zabił. W czasie przesłuchań takim ludziom zdarzało się mówić nie o tym, co rzeczywiście zrobili, ale o tym, co zamierzali zrobić albo co sądzili, że robią. Zachowywali się jak bohater „Łaskawych” Jonathana Littella, esesman von Aue, który w Babim Jarze chciał uratować dziewczynę, ale zamiast tego podszedł i strzelił jej w głowę.

Niestety dla czytelnika protokołów takich przesłuchań wcale nie kłamstwa są najgorsze. Bywają bowiem zeznania tak szczerze, że człowiek zaczyna wręcz tęsknić za kłamstwem. Mam na przykład przed sobą historię kolejnego chłopaka z oddziału Józefa Kurasia „Ognia”, nastolatka, ucznia Gimnazjum Wieczorkowskiego w Rabce; nazwijmy go Gimnazjalistą. Z wykonywaniem wyroków śmierci nigdy nie miał najmniejszego problemu, choć zaliczył ich ze 20. Przeraziło go dopiero morderstwo, któremu przyglądał się z dystansu, przez okno, zapewne nie rozpoznając w nim siebie samego:

W drugiej połowie 1946 [ktoś] przyniósł „Groźnemu” [dowódcy oddziału podporządkowanego „Ogniom”] wiadomość, że osobniczka zamieszkała we wsi Rabka Zaryte (obok stacji kolejowej) nazwiskiem Śmietana jest współpracowniczką UB oraz że u niej mieści się skrzynka pocztowa dla Urzędu Bezpieczeństwa. Po otrzymaniu tegoż meldunku „Groźny” kazał wypisać na formularzu wyrok śmierci na osobniczkę Śmietanę i wraz z całym oddziałem w liczbie 12 ludzi udaliśmy się do Rabki Zaryte do domu Śmietany, gdzie po obstawieniu domu Waclawik Ignacy ps. Kula i Domalik Adam weszli do mieszkania, a ja stałem na obstawie przy oknie i widziałem następujące zajście wewnątrz mieszkania: po wejściu w/w dwóch do mieszkania odczytali Śmietanie wyrok śmierci i chcieli ją wyprowadzić z domu, lecz w tym przeszkadzały jej dzieci w liczbie sześciu, w wieku do dziesięciu lat, które poupadały jej do nóg i nie chciały jej puścić. Po dłuższym mocowaniu się z nią Domalik strzelił Śmietanie w głowę w mieszkaniu, kładąc ją na ziemię, a Waclawik następnie dobił ją strzałem z pistoletu.